

Regina Brett

Trudna miłość. Mama i ja

Wydawnictwo Insignis

premiera: 16 września 2020

fragment książki

Ten dom był nawiedzony.

Ten dom był święty.

Ten dom był domem duchów i domem Boga.

A teraz był na sprzedaż.

Wkrótce nowy właściciel miał odziedziczyć zjawy i anioły mieszkające w naszym dawnym domu na Sycamore Street 420 w Ravennie, niewielkiej robotniczej miejscowości zaledwie godzinę od Cleveland, we wspaniałym stanie Ohio, który w swoim sloganie turystycznym ogłaszał się „bijącym sercem Ameryki”. Gdy dorastałam, Ravenna szczyła się populacją sięgającą dziesięciu tysięcy mieszkańców – a przynajmniej taka liczba widniała na billboardzie na skraju miasta, niedaleko fabryki pudełek, która została zamknięta wiele lat później jak wszystkie pozostałe zakłady przemysłowe w mieście.

Kiedyś Ravenna mianowała się Balonową Stolicą Świata. W Halloween pracownicy wytwórni wyrobów gumowych oprócz słodczy rozdawali pęki balonów. Potem wytwórnie splajtowały, padając kolejno jak kostki domina. Dziś całe miasto wygląda tak, jakby potrzebowało wiosennego remontu.

Tydzień przed licytacją naszego domu rodzinnego przyjechałam, żeby pożegnać się z nim w samotności. Chciałam podziękować i wybaczyć miejscu, któremu zawdzięczam to, kim jestem.

Moi rodzice wychowali jedenaścioro dzieci w tym małym białym budynku przy torach kolejowych. Miał nad nami magiczną moc – działał jak wehikuł czasu. Przekraczało się jego próg, mając lat czterdzieści, a wychodziło, czując się jak dziesięcioletek. Jedna z moich sióstr mimo doktoratu zamieniała się w domu w niezdarną nastolatkę. Inna, pielęgniarka z oddziału intensywnej terapii, która świetnie radziła sobie ze stresującą pracą, podczas wizyt na Sycamore Street załamywała się psychicznie. Moi trzej bracia z dyplomami MBA czuli się tam

onieśmieleni i głupi. Wszyscy byliśmy zranionymi dziećmi, które nigdy do końca nie wydobrzały.

[...]

Ten dom wiedział o wszystkim, co się w nim działo. Mogłabym przysiąc, że słyszę bicie jego serca, wolne i miarowe. Stuk, stuk. Stuk, stuk. Stuk, stuk. To w nim szlochaliśmy po laniach i opłakiwaliśmy rozczarowania. To w nim tkwiliśmy, gdy rodzice dali nam szlaban na wyjścia, i w nim rozwijaliśmy skrzydła. Tu zorganizowaliśmy kolację przedślubną jednego z moich braci i tu z siostrami szyłyśmy sukienki na wesele mojej siostry. To był pierwszy dom mojej córki i ostatni dom mojego ojca. To tu wydała ostatnie tchnienie moja słowacka babcia i tu zamieszkał mój pochodzący z Irlandii dziadek, gdy udar przykuł go do łóżka i na zawsze pozbawił uroczego akcentu z ojczyzny. Tata nosił dziadka z pokoju do pokoju, dopóki mógł, a gdy stało się to zbyt trudne, umieścił go w domu opieki społecznej. Tam dziadek zmarł, a tata nigdy sobie tego nie wybaczył.

Dom uświadamia ci, kim byłeś dawniej. Nasz stanowił bazą wypadową i odskocznię do nowego życia. Trafiłam pod ten adres jako dziecko zaraz po przyjściu na świat, a opuściłam go dopiero dwadzieścia dwa lata później z roczną córeczką.

Oczyrna duszy widziałam nasz dom w jego pierwotnym kształcie. Mikroskopijna kuchnia. Piętro, na którym były tylko trzy maleńkie sypialnie, dopóki tata nie dobudował dwóch kolejnych. Ganek, który tata zburzył, żeby powiększyć salon. Wielki napis na warsztacie: „Zakład blacharski Bretta”, z czasów gdy pod dom podjeżdżały ogromne ciężarówki z długimi arkuszami blachy, zamieniane przez tatę w kanały grzewcze i wentylacyjne.

Wszędzie dostrzegałam naszą przeszłość – niewidzialne ślady stóp i odciski dłoni różnych Brettów pokrywały każdy skrawek podłogi i ścian po świętowanych w domu urodzinach, pierwszych komunii, Dniach Dziękczynienia, wigiliach i uroczystościach ukończenia studiów. Nasz basen, nasze lodowisko, telefon na biurku taty – kiedyś stanowiły pępownię, której nie można przeciąć.

Ale w końcu ją przecięliśmy. Każde z naszej jedenastki.

My nie wyprowadziliśmy się z tego domu. My z niego uciekliśmy.

W odróżnieniu od mamy.

Kiedy rodzeństwo taty wyprowadziło się i zaczęło samodzielne życie, mama i tata pobrali się i zamieszkali w domu pod numerem 420. Tata obiecał, że zostaną tam tylko do czasu, aż będzie ich stać na coś lepszego.

Zostali tam na zawsze.

A mama nigdy mu nie wybaczyła.

Wybaczenie nie leżało w jej naturze.

Rodzice tak często ją okłamywali, że trudno jej było zaufać komukolwiek, nawet nam. Trudno jej było zaufać życiu. Każdy miałby z tym problem, gdyby jego dzieciństwo składało się z przemilczanych prawd i powtarzanych bez końca kłamstw. Rodzice powiedzieli mamie, że urodziła się w Akron w stanie Ohio. Kiedy jednak chciała wyrobić sobie prawo jazdy, nie mogła znaleźć swojego aktu urodzenia. Okazało się, że taki dokument nie istnieje. W oficjalnym rejestrze nie było informacji o narodzinach Mary Jane Kerecman. W końcu jej rodzice przyznali, że tak naprawdę przyszła na świat w Czechosłowacji. W tamtych czasach nielegalni imigranci musieli co roku zgłaszać się do odpowiedniego urzędu. Mama bała się, że zostanie deportowana. Mój tata zwrócił się o pomoc do prokuratora generalnego. Ostatecznie mama otrzymała obywatelstwo Stanów Zjednoczonych w 1961 roku, kiedy miałam pięć lat. Prawo jazdy zrobiła jednak znacznie później.

W dzieciństwie wiele przeszła. Powiedziała mi, że poślubiła mojego tatę, bo miał prawdziwą rodzinę. W jej domu wiele wydarzeń spowijała mgła tajemnicy. Dziadek prawdopodobnie był przemytnikiem alkoholu, dlatego często się przeprowadzali, żeby zmylić tropy. Ostatnią część dzieciństwa spędziła na skrawku ziemi nazwanym Drakesburg w stanie Ohio, który nie zasługiwał na miano miasta, miasteczka ani nawet miejsciny. Były tam tylko pola kukurydzy, lucerny i soi, rozdzielone kilkoma niszczącymi stodołami i wąskim odcinkiem autostrady, prowadzącej do jedyne go baru i niewielkiej szkoły.

Gdy dorastała, świat był ogarnięty wojną i nikt nie wiedział, kto wyjdzie z niej górą. Czy wygrają Japończycy? Czy Hitler zdobędzie pełnię władzy? W chwili wybuchu wojny mama miała dziewięć lat; gdy ogłoszono pokój, kończyła piętnaście. Jej siostra Annie wcześniej wyprowadziła się z domu rodzinnego, a trzech bracia wyruszyli z farmy na pustkowiu na ratunek światu. Chuck przez trzy lata był przetrzymywany w obozie jenieckim w Niemczech. Mike trafił do jednego z pierwszych batalionów elitarniej formacji Army Rangers, przeżył Raid na Dieppe, ale w Afryce zachorował na malarię, która niemal go zabiła. O istnieniu trzeciego brata, Johna, tak naprawdę dowiedzieliśmy się dopiero w dniu jego śmierci. Mama nigdy o nim nie

wspominała, bo jako jedyny wyrwał się z ich rodzinnego piekła. Wyniósł się z domu już jako nastolatek, żeby ojciec nie zdążył zniszczyć mu życia.

Kiedy jej trzech bracia poszli na wojnę, a siostra wyjechała, mama musiała pracować na dwudziestu pięciu hektarach ziemi i pomagać przy krowach i kurach. Dziadkowie posługiwali się łamaną angielszczyzną oraz mieszaniną słowackiego i węgierskiego z domieszką polskich i rosyjskich słówek. Gdy odwiedzaliśmy ich w dzieciństwie, przez większość czasu nie rozumieliśmy, co mówią – w potoku dźwięków rozróżnialiśmy tylko okrzyk „ojojoi!”, który brzmiał dla nas jak przekleństwo. Nie umieli czytać ani pisać po angielsku, więc to mama musiała przeglądać pocztę. Trudno sobie wyobrazić, co czuła dziewczynka czytająca rodzicom telegram z Departamentu Obrony z wiadomością, że jej nastoletni brat jest jeńcem wojennym.

Przez cały okres wojny mama nie miała skąd czerpać miłości. Któregoś dnia jej tata zobaczył, jak płacze. Zamiast pocieszyć córkę, warknął tylko: „Skoro jesteś taka nieszczęśliwa, idź się powieś w stodole”. Nazwał ją dziwką, gdy miała pięć, siedem albo dziewięć lat. Gdy o tym opowiadała, jej wiek się zmieniał, ale treść zdania pozostawała taka sama. Może po prostu słyszała te słowa wiele razy i każda wersja była prawdziwa.

Moja mama wychowywała się bez dziadków. Z tego co wiemy, wszyscy zostali w Europie. W Ameryce nie miała ciotek ani dalszych krewnych, które mogłyby kochać ją jak matka. Jej rodzice albo ją dręczyli, albo w najlepszym razie – ignorowali.

Jedynym źródłem miłości w życiu mamy był jej najlepszy przyjaciel collie, który wabił się Frankie.

Nikogo na świecie mama nie kochała tak mocno jak Frankiego.

Jego serce stało się jej domem.

Opowiadała o Frankiem do końca życia. Rzadko wspominała dorastanie na farmie; te historie nie nadawały się dla dzieci. Wychowała się w trudnych warunkach, ale Frankie wniósł w jej życie miłość. Na starość uciekł – i chociaż wszędzie go szukała, nigdy nie trafiła na żaden jego ślad.

Frankie był jedynym pocieszycielem mamy. Tylko on ją rozumiał. Dawał jej coś, czego nie dostawała od nikogo innego: czułość, ukojenie. Rodzice rzadko okazywali córce troskę. W tym domu dotyk zawsze wiązał się z przemocą. Nie wiem, co przeżyła w dzieciństwie, ale kiedy byliśmy mali, dziadek rzucił lampą w żonę i zepchnął ją ze schodów. Widzieliśmy babcię z ręką na temblaku, bo miała zwichnięty bark. Nigdy nie dowiedzieliśmy się, co spotkało mamę w

domu rodzinnym. Raz zapytaliśmy ją, czy miała kiedyś jakieś złamanie. Odpowiedziała, że tak, ale nie chciała nam o tym opowiedzieć i już nigdy więcej nie podjęła tego tematu.

Szkoda, że Frankie nie mógł ustrzec jej przed tym wszystkim, ale przynajmniej podtrzymywał ją na duchu. Frankie zajmował najwięcej miejsca w sercu mamy. Często mi opowiadała, że kiedy była smutna, wsuwał jej nos pod pachę i mocno się w nią wtulał. Zawsze, gdy o nim mówiła, zamieniała się w kogoś, kogo umiałabym pokochać, i kogoś, kto być może umiałby pokochać mnie. Jej twarz łagodniała, a głos stawał się melodyjny. Mama uśmiechała się wtedy tak, jakby była zakochana. Jej orzechowe oczy skrzyły się radością. Tylko Frankie tak na nią działał.

Pewnego dnia wróciła do domu z repliką Frankiego naturalnej wielkości, znaną w sklepie w centrum miasta. Ceramiczny pies wyglądał jak prawdziwy: miał czterdzieści pięć centymetrów wysokości, szpiczasty beżowy pyszczek i falistą brązową sierść. Siedział wyprężony, jakby czekał na kość, zabawkę albo pieszczotę. Przez kilkadziesiąt lat figura stała w naszym salonie, przypominając mamie najlepszemu czworonożnego przyjaciela, jakiego można sobie wymarzyć. Kiedyś kupiłam mu niebieską psią miskę i postawiłam ją przed nim. Sprawiał tak realistyczne wrażenie, że goście pochylali się, żeby go pogłaskać.

Kiedy próbuję pokochać moją mamę, wyobrażam sobie małą dziewczynkę, która wtula twarz w sierść na karku swojego psa, bo musi się komuś wyzalić albo wypłakać.

Może Frankie pomoże mi znaleźć w sobie miłość do tej dziewczynki, którą była i pozostała moja mama.

Dziwnie jest uświadomić sobie, że już nigdy nie wrócisz do miejsca, w którym spędziłeś każdy dzień dzieciństwa.

Chodząc po raz ostatni po domu na Sycamore Street 420, rozłożyłam szeroko ramiona, a potem otworzyłam serce na oścież, żeby wypuścić całą uwięzioną tam energię. Żegnałam się z domem pokój po pokoju, rana po ranie. Czułam się tak, jakbym odzyskiwała rozproszone fragmenty mojej duszy. Dziękowałam każdemu pomieszczeniu za radość, jaką mnie obdarowało, i wybaczałam mu smutek, jaki mi przyniosło. Wybaczyłam nawet ohydnej zamykanej od zewnątrz piwnicy z niskimi korytarzami, pajakami na ścianach i stosami martwych much na podłodze. Podziękowałam pralni, gdzie nieraz przytulałam policzek do czystych, ciepłych ręczników wyciągniętych z suszarki, bo potrzebowałam bliskości.

Ostatni raz otworzyłam szafę w przedpokoju, w której tak często się chowałam. Wypełniały ją płaszcze, które były już za ciasne na mamę. Pomarańcz, zieleń i biel na fladze, którą co roku wywieszaliśmy w Dzień Świętego Patryka, zdążyły całkiem wypłowić na słońcu. Drążek zardzewiał od deszczu. Salon wyglądał zupełnie bezosobowo. Nigdzie nie stały buty ani nie leżały zabawki, o które można byłoby się potknąć. Zniknęły nawet wizerunki Jezusa. W domu nie było już krucyfiksów ani Praskiego Dzieciątka. Na ścianach nie wisiał ani jeden krzyż.

Dom wyglądał tak niewinnie. Sprawiał dość przygnębiające wrażenie. Aluminiowy siding, który dawniej lśnił bielą, teraz nawet w pełnym słońcu wydawał się matowy, mimo że jeden z moich braci poświęcił kilka tygodni na odmalowanie paneli. Betonowe stopnie zaczynały się kruszyć. W wyłobionych na żwirowym podjeździe koleinach stały błotniste kałuże. Przed domem kiedyś rozciągał się idealny trawnik ogrodzony białym płotem; teraz rosła tam niewielka kępka trawy przetykanej chwastami i gęszczem kwiatów, ze wszystkich sił usiłujących się rozwinąć.

Tata nigdy by nie przypuszczał, że nadejdzie taki dzień, kiedy pod numerem 420 nie będzie mieszkał żaden Brett. Chciał, żebyśmy wszyscy dorośli i zestarzeliby się na Sycamore Street. Dla niego była to ziemia święta.

[...]

Ostatni raz przekręciłam klucz w zamku i spojrzałam na czarne cyfry na aluminiowym sidingu. Były wykonane ze zwykłego plastiku, ale i tak ściągnęłam je ze ściany i zabrałam ze sobą.

Żegnaj, domu rodzinny. Żegnaj, dawne schronienie. Żegnaj, choć tak długo byłeś moim miejscem na ziemi. Kochałam ten budynek i równocześnie go nienawidziłam. Mieścił w sobie tyle życia, miłości i śmiechu, a zarazem smutku, żalu i wstydu.

Za kilka dni dom, warsztat i wszystko, co się w nich znajduje, miały zostać wylicytowane. Na tę myśl mała dziewczynka, którą byłam i po części wciąż jestem, poczuła się bezdomna.

Ale przecież czuła się tak od zawsze.

Twoim pierwszym domem jest matka.

Jeśli masz szczęście, pozostanie twoim domem na zawsze. Na świecie jest mnóstwo ludzi, którzy doświadczyli miłości macierzyńskiej i cieszą się obecnością mamy w swoim życiu lub tęsknią za nią, bo już odeszła.

Inni, tacy jak ja, błąkają się w stanie zawieszenia, bez własnego kraju, bez domu. Dziwna to żałoba, gdy ma się matkę, a jednak się jej nie ma; gdy twoja matka żyje, ale jesteś dla niej nikim. Dziecko osierocone przez matkę, która wciąż żyje – tak się czułam. Wciąż się tak czuję. I już zawsze będę się tak czuła.

A może nie zawsze.

Może uda mi się napisać tę historię na nowo. Nadać jej inne zakończenie. Stworzyć dla siebie nową mamę poprzez sposób, w jaki opowiadam o naszej relacji i wspominam jej obecność w swoim życiu. Albo nauczyć się matkować samej sobie i stać się dla siebie mamą, o jakiej zawsze marzyłam.

Pewnego dnia wiele lat temu modliłam się o inspirację. Zastanawiałam się, o czym powinnam napisać moją następną książkę. Prosiłam Boga o jakiś znak. I dostałam go trzy tysiące metrów nad ziemią – wyjrzałam przez okno samolotu i zobaczyłam, że chmury nad skrzydłem ułożyły się w biały, puchaty napis „mama” na tle olśniewającego błękitu nieba. Przeszył mnie lodowaty dreszcz. Czy naprawdę muszę napisać właśnie o niej?

Jest moją lekcją do odrobienia i moją nauczycielką. Jest dla mnie wszystkim. Moim najczulszym punktem. Pułapką, w którą zawsze wpadam. Haczykiem, na który zawsze się łapię. Cierpieniem, które tkwi głęboko we mnie. Chociaż miałam matkę, czułam się przez nią osierocona. To moja najboleśniej rana, największa bariera w moim sercu. Muszę ją zaleczyć, muszę ją przekroczyć.

Jak? Dzięki pisaniu.

Wyrzucając z siebie te słowa i nazywając tę najgłębszą z krzywd: „Skoro nie kocha cię własna matka, to jak może pokochać cię ktoś inny?”.

Kiedyś pocieszała mnie pieśń niewolników murzyńskich *Sometimes I feel like a motherless child* – „Czasem czuję się jak dziecko bez matki”. Ktoś inny doznał tego samego bólu co ja i stworzył o nim piosenkę. Właśnie po to powstaje sztuka. Sean Thomas Dougherty napisał: „Po świecie chodzi ktoś z raną dokładnie w kształcie twoich słów”. Jeśli moje słowa pasują do czyichś ran, mogą przynieść mu ukojenie. Kiedy żaliłam się przyjaciółce, że nie uratowałam rodzeństwa przed naszym dzieciństwem, odpowiedziała: „Wystarczy, że

uratowałaś siebie”. Czy to naprawdę wystarczy? Nadal chcę wierzyć, że umiem pomóc wszystkim.

Muszę opowiedzieć swoją prawdę, zerwać wreszcie tę zasłonę wstydu i strachu. Właśnie w ten sposób mogę wspierać siebie i innych – dzieląc się swoją prawdą. Stając w prawdzie swojej prawdy.

Chcę ukochać samą siebie jak matka. Czy stracę przez to rodzeństwo? Czy to zraniłoby moją matkę? Uwolnię ich – taką mam nadzieję.

I uwolnię również ciebie.

Ciebie, który czytasz te słowa.

Ty również odzyskasz wolność.